

W 1989 r. chcieliśmy odwołać wybranych polityków

5 czerwca 2014

25 lat temu po raz pierwszy poszedłem na wybory, mając nadzieję, że będą one początkiem końca komunistycznego reżimu. Pamiętam, że skreśliłem całą listę krajową i nie głosowałem na kandydatów PZPR, ZSL i SD. Ale nie zagłosowałem bynajmniej również na wszystkich kandydatów Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”. W wyborach do Sejmu poparłem zamiast Waleriana Pańki Barbarę Czyż z KPN, w wyborach do Senatu zdecydowałem się nie głosować na Andrzeja Wielowieyskiego. I okazało się, że czułem pismo nosem – Andrzej Wielowieyski oddał wkrótce potem w Zgromadzeniu Narodowym głos nieważny podczas głosowania w sprawie kandydatury Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL – przyczyniając się wraz z kilkoma innymi „solidarnościowymi” posłami i senatorami (Wiktorem Kulerskim, Andrzejem Miłkowskim, Aleksandrem Paszyńskim, Andrzejem Stelmachowskim, Stanisławem Stommą i Witoldem Trzeciakowskim – nieobecni byli Marek Jurek, Zdzisław Nowicki, Krzysztof Pawłowski, Jerzy Pietkiewicz, Maria Stępniak, Andrzej Szczepkowski, Mieczysław Ustasiak i Henryk Wujec) do wyboru byłego szefa WRON, który zdobył wówczas jeden głos ponad wymaganą bezwzględną większość.

Wraz z dwoma znajomymi (Jarkiem Podworskim i Januszem Madejem) postanowiłem wtedy zorganizować akcję protestacyjną, polegającą na zbieraniu podpisów pod żądaniem odwołania Andrzeja Wielowieyskiego ze stanowiska senatora, w oparciu o artykuł 2 ust. 2 konstytucji PRL, stanowiący, iż „przedstawiciele ludu są odpowiedzialni przed swymi wyborcami i mogą być przez nich odwołani”. W praktyce akcja ta, organizowana pod szyldem „Społecznego Komitetu Obrony Interesów Wyborców”, mogła mieć jedynie wydźwięk symboliczno-propagandowy, jako że nie istniała żadna ustawa ani przepisy wykonawcze określające procedurę takiego odwołania. Mimo to

wzbudziła falę krytyki na łamach „Gazety Wyborczej”. Zaczęło się od tego, że inny mój znajomy, Waldemar Szymczyk, napisał do tej gazety tekst na temat tej akcji. Tekst się nie ukazał, ale bynajmniej nie dlatego, że był merytorycznie kiepski (Waldemarowi Szymczykowi zaproponowano po nim pracę w „GW” – był potem jednym z założycieli katowickiego dodatku gazety i zastępcą redaktora naczelnego). Ukazała się natomiast krótka notka informująca o zdarzeniu, a w kolejnych dniach krytyczne komentarze Jerzego Modlingera (pouczającego, że „oddając głos udzielamy swemu posłowi mandatu zaufania, dajmy mu więc czas i poczekajmy z rozliczeniem na koniec kadencji” i że „nikt z nas nie ma monopolu na wiedzę tajemną, co jest, a co nie jest dobrem Rzeczypospolitej”), Ewy Berberyusz (która stwierdziła, że to my, wzywający do odebrania mandatu Wielowieyskiemu, jesteśmy „zarażeni PRL-em” i działamy według zasad „centralizmu demokratycznego”) i zaniepokojonej czytelniczki „GW” (zdaniem której było to „zbaczanie ku anarchii” wynikające „z nieznajomości zasad demokratycznych”).

Tak ostra reakcja na działanie mające wymiar jedynie symboliczny może dziwić – widocznie jednak uznano, że sama idea odwoływania „przedstawiciela ludu” za głosowanie niezgodne z oczekiwaniami wyborców jest na tyle niebezpieczna, że trzeba dać jej zdecydowany odpór. Obecnie taka możliwość nie jest przewidziana nawet w konstytucji.

Niemal od razu piewcy demokracji ujawnili swój strach przed rządzonymi. Rozwiały się pewne złudzenia.

Autor i źródło: [Jacek Sierpiński](#)